



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50. W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Piosnki Różowe.

WARUNKI.

Mniej mi bądź szczęściem, więcej—spokojem
I mniej człowiekiem, więcej—aniołem;
Gdy mało czuję, bądź czuciem mojem,
A kiedy pragnę, bądź ducha zdrojem
I świeć mi pogodnem czołem.

Kiedy ja zbłądzę, bądź kierownikiem,
Gdy się zachwieję,—moją podporą;
Na łódce pragnień ty bądź sternikiem;
Bądź gwiazdą stałą, gdy ja ognikiem
I na mnie, jak gwiazdy, gorą.

Kiedy ja zwątpię, bądź mi dogmatem;
Bądź moją prawdą w zamglonej sferze;
Gdy świat nas zdradzi, bądź moim światem:
Będę szczęśliwa!... dosyć mi na tem,
Gdy Bogu i tobie wierzę.

Kiedy nam życie wieniec rozplecie
I zwiędłe marzeń kwiaty rozwieje;
Kiedy piękności zabraknie w świecie—
Ty mi pokażesz, w świata szkielecie
Że jeszcze piękność istnieje!

Kiedy, jak dziecię, do stóp ołtarzy
Padnę, splakane podnosząc oczy,
I z modlitw zacznę tę, co się skarży —
Ty mi z spokojem męzkim na twarzy
Przypomnisz pacierz proroczy.

Ty mnie nauczysz cichej modlitwy,
Która podnosi skrzydła znużone
I z smutków fali lotem rybitwy,
Ból zostawiając na polu bitwy,
W anielską ulata stronę.

Ty mnie nauczysz lotności ducha,
Jak się w błękitcie trzeba podnosić;
Duch mój cię lotem skrzydeł usłucha
I jednym dźwiękiem gdy przestrzeń głucha
Zwycięztwo twoe będzie głosić.

Kiedy w ludzkości mętным strumieniu
Nie ujrzę pereł wiary na dole —
Niech ujrzę wiarę w twojem spojrzeniu,
Uczuję miłość w twojem westchnieniu,
Nadzieję na twojem czołe.

O, mój geniuszu! słowami twemi
Prowadź mnie w jasne duchów zbawienie!
Niech, idąc ciągle ślady twojemi,
Pamiętam, że Bóg stworzył dla ziemi —
I miłość, i przebaczenie.

Mniej mi człowiekiem, więcej bądź duchem,
Mniej mi bądź ziemią, a więcej—niebem,
A w chwili śmierci twych skrzydeł puchem
Ogrzej strwożoną wieczności ruchem:
Bądź mojej śmierci Horebem!

Niechaj mi ducha twego odbłaski
Świadczą o ogniu, co w niebie płonie;
Niech w chwili śmierci nie żądam łaski
I cicho przyjmę światła przepaski,
Które śmierć daje na skronie.

Niechaj z wyżyny twojego ducha
Ujrzę przez Boga kraj obiecany....
Niech mi twój gołąb' piosnkę wygrucha:
A gdy się duch mój w jej dźwięki wsłucha,
Puść go—niech wzleci, świetlany!
Szczęsna.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Spokój ducha i rezygnacya, na której uzyskanie pracował tak usilnie Sylwan, nie tylko zachwiane, ale zburzone zostały. Chora matka mogła nawet dostrzedz zmianę w synu—a ludzie odgadli, że listy, które dochodziły z poczty, zawsze pana wprawiały w stan jakiś gorączkowy.

Horpiński dałby był wiele, ażeby mógł matkę uzdrowić i wywieźć ztąd.

Choroba uparta ani o tem myśleć pozwalała przed wiosną. Doktor powiedział, że o podróży ani marzyć się godziło, póki by siły nie wróciły, a zwolna zmniejszające się skutki pierwotnego ataku nie znikły zupełnie. Kazał się tego spodziewać, razem uprzedzając, że unikać trzeba wszystkiego, co by chorą mogło poruszyć do zbytku.

Zatem i o wyniesieniu się na Ukrainę mowy być nie mogło...

Zima upłynęła w tych męczarniach ducha dla biednego Sylwana.

Walczył on, nie zmieniając myśli, nie chcąc się poddać; lecz stan ten go wyczerpywał. I matka i Tatiana i nawet Pynia, wpatrując się w niego, widziały jak bladł, chudnął, żółkł, jak się wypalał tym ogniem wewnętrznym, który w sobie nosił.

Doktor,—którego wcale się radzić nie wysłał, sam go zaczął o to: czy nie cierpi. Sylwan odpowiedział szorstko, że jest zdrow zupełnie.

Horpyna powoli wracała do dawnego stanu i ruchy jednej połowy ciała, zatamowane, zjawiały się znowu: nadzieja więc, wstępowała w Sylwana, że cieplejsza pora zdrowie zupełnie przyniesie matce. I ona sama w to wierzyła; ale przed Tatianą mruczała czasami.

— A na co komu, to moje życie! Dla niego ja zawadą — kłoda do szyi uwiązana. Ruszyć się nie może, jak chce... Pocięch ze mnie nie ma; ja mu utrapieniem i zgryzotą.

Sylwan był dla niej zawsze najczulszym, lecz i okazywania tej czułości doktor wzbronil, aby starej nie poruszać do łez, teraz łatwiejszych jeszcze i wytryskujących za łada słowem.

Nigdy jej o płacz trudno nie było. Od czasu choroby lzy zdawały się pogotowiu być w oczach — tak, że najmniejsze wzruszenie je dobywało, a utulić je potem było trudno.

Nadchodziła wiosna — lecz opieszale, i była niestała. Ukraińcy, którzy już sądzili, że ona ich znajdzie na owym chutorze marzonym — myśleli, straciwszy nadzieję, wziąć się niezbędnie do roboty w polu. Horpyna wychodziła do okna, jakby wyczekując też zieloności i słońca. Lecz Kwiecień się kończył, a owa wiosna, co się zawczasu zapowiadała, zwiódła drzewa, które puszczać zaczęły. — okryła się znowu śniegiem, i gdy ten powoli spełznął, nanowo musiała rozpoczynać zmarnowaną robotę. Drzewa na nowe siliły się pączki — nieśmiało.

Sylwan czuł się bardzo nieszczęśliwym — stojąc na rozstajach ciągle i nie mogąc rozpocząć tego nowego życia, do którego miał się zmusić, ani chcąc wrócić do tego, z którym wziął rozbrat. Nic mu nie smakowało; niecierpliwil się, zżymał; przybity, chodził, niesłyszac często co do niego mówiono, nie odpowiadając na zapytania. Parobkom rzucał słowa niecierpliwie. Tatiana nie śmiała się zbliżyć do niego: Pyni nie dał nawet dobrego słowa.

U łóżka matki siadywał podparty na rękę i jakby skamieniały.

Stara przypisywała to oderwaniu się od zwyczajnego życia, od świata — i wyrzucała to sobie, rada go była wygnąć z domu; lecz on ani mówić sobie o tem nie dawał.

Jednego dnia wiosny, już cieplejszej nareszcie, Horpyna, oparta na rękę dziewczęcia, wyszła w podwórze, odetchnąć świeżem powietrzem — i pogrzać się na słońcu, lecz zaledwie chwilę pozostała na progu, zbladła, część twarzy jej drzeć zaczęła... Dała znak dziewczęciu, aby ją wprowadziło napowrót do dworu. Nogi się pod nią chwiały. Nadbiegła Tatiana i tak osłabła, ledwie dociągnęła powoli do łóżka. Jedno spojrzenie przekonało Tatianę, iż choroba w części powróciła nanowo. Stara mówić nie mogła; bełkotała niewyraźnie.

Pynia pobiegła do Sylwana, do stajen i Harasym gnał znowu do miasteczka. Tym razem doktor, — chociaż najlepiej życzył swojej pacjentce — nie zdawał się spieszyć do niej.

Zapytał Harasyma: jak tam było, pokiwał głową i zamruczał. Ukraińiec nie umiał sobie wytłumaczyć: czy lekceważył chorobę, czy uważał ją za nieuleczoną.

Taką ona była wistocie. Stara nie odzyskała już mowy; obracała błędnymi oczyma; zpod powiek lzy jej ciekły; jedną ręką poruszała konwulsyjnie, dawała się starała znaki różne — ale tych nie rozumiano. Pynia, Sylwan i, o ile mogła, Tatiana, nie opuszczali łóża.

Dni kilka przeciągnęła się ta męczarnia. Naostatkiem, jakby snem spokojnym, uleciało życie w jakimś marzeniu — może o przeszłości.

Gdy Sylwan zamknął jej oczy, a zwłoki białym całunem okryto — znalazł się biedny sierota tak sam jeden na świecie, w życiu, tak zniechęcony

do niego, że niemal pozazdrościł matce spokoju grobowego.

Co miał czynić teraz? nie wiedział. Nic go nie kępowało, ale też nic nie zmuszało do pośpiechu.

Zając się najpierw musiał smutnym obrzędem pogrzebowym — a gdy się ten odbył, nie według jego życzenia, ale według miejscowych okoliczności; gdy wszyscy powrócili do Rusinowego Dworu, a poculi tę próżnię, jaka po umarłej pozostała; nie umieli się obracać — na każdym kroku rozbijali się o ten cień niewidomy, który wszędzie stał przed nimi.

Cisza zaległa dom; nikt nie śmiał, ani rozkazywać, ani sam coś rozpocząć; czekali wszyscy. Sylwan siedział, zamknięty, w swej izbie. Tatiana z Pynią, nieśmiało głos podnieść, szeptały cicho, jakby jeszcze zmarłej spokój szanowały.

Dopiero dnia następnego Harasym się odważył przejść na próg do izby Sylwana i prosić go o rozkazy.

— Mój stary — rzekł mu Horpiński — niech wszystko idzie obyczajem dawnym, do czasu. Gospodarzcie, jakeście nawykli, dopóki ja czegoś nie postanowię. Dajcie mi przeboleć.

Tatiana więc objęła rządy domowe i opiekę nad dziewczyną, która w niewymownym żalu i łzach za przybraną matką — utulić się nie mogła. Sylwan siedział, prawie niewidzialny, w swojej izbie, nie dowiadując się o sierotę i jakby zapomniawszy o niej.

Był teraz swobodnym i mógł, jak postanowił, sprzedać Rusinowy Dwór a wynieść się na Ukrainę. Nie przewidział jednak tego, że wspomnienie matki przywiąże go do tych ścian, do tego ziemi kawałka. Gnuśność jakaś opanowała go na myśl, że wiele pracy i zachodów kosztować będzie wynoszenie się, którego korzyści były bardzo wątpliwe.

Mógł wszakże tak się tu zamknąć w tej pustelni, jakby był na drugim świata końcu. Ukraina bez nadziei, aby ją potrafił pokochać — tak wydawała się smutną, jak i ten kąt pusty. Lecz co było począć z sierotą!...

Sylwan troskę o to, jako nienagłą, odłożył do późniejszego namysłu. Chciał ją wyposażyć i odesłać. Słowo Tatiany dało mu do zrozumienia, że okrucieństwem byłoby sierotę, która się do domu przywiązała, rzucać znowu w świat między obcych.

Z dnia na dzień więc ciągnęło się tak życie. nałogowe jakieś, bezmyślne, które nawet parobków zaspokoić nie mogło, bo czuli, że Sylwan do niego serca nie miał, że trwać ono nie będzie. Chodzili posepni, odgadując tylko: czy i kiedy wybiórą się na Ukrainę... Tatiana płakała i milczała.

Nikomu ta śmierć bolesniejszą nie była niż jej. Od dawna żyły z sobą w ciągłych sporach, ale w najściślejszym związku — jedna się bez drugiej obejść nie mogła.

— I mnie już chyba umierać! — mruczała stara Tatiana, lzy nieustannie ocierając fartuchem.

Zaraz po pogrzebie Horpyny nadszedł list Wojtki i w nim list Misi. — Sylwan odpowiedział na nie w kilku słowach, oznajmiając poufnie Wierzbicie o śmierci matki. Sama krótkość i suchość tego listu więcej mówiła, niżby przewlekłe skargi i żale powiedzieć mogły.

Wojtek, odebrawszy kartkę — pomyślał, serce mu się poruszyło. Nie chciał się radzić nikogo i zwierzać nikomu; pojechał tylko do Zaborowa i oznajmił pannie Michalinie, że postanowił widzieć się sam z Sylwanem — i natychmiast wyjeżdża do niego.

— Stało się co? mów mi pan otwarcie! — zapytała panna. — Myśli tej, nie miałeś wprzód. Co pana do tego skłoniło? Bądź szczerem.

— Nic innego nad to, że widzę Sylwana w stanie ducha niebezpiecznym. Nie wie co ma czynić. Sądzę, że wpływ mój może mu się przydać na co.

— Jedź więc pan — odparła żywo Michalina — a zawieź mu odemnie, nie tylko pozdrowienie, ale zaproszenie gorące, aby nas odwiedził, a nie zamykał się z sobą samym, bo ma skłonność do trucia się najczarniejszymi myślami.

Jeżeli można, pochwyć go pan i przywieź z sobą.

Przed żoną Wojtek może się nawet nie przyznał, dokąd jedzie, i znalazł tylko wymówkę w jakimś interesie do Warszawy.

Wielkie było zdziwienie Horpińskiego, gdy jednego dnia, wróciwszy z pola wieczorem, w bramie znalazł Harasyma, który mu o jakimś gościu oznajmił. Przed szopa stał kocyk wyprężony, w ganku siedział Wojtek, którego mlekiem poila Horpynka, bawiając rozmową. Pierwsze wrażenie było radosne. Rzucili się sobie w objęcia — starzy druhowie.

— Jak ty jesteś pocziwym i serdecznym! — zawołał Sylwan — aż tu się przywlekłeś, niosąc mi słowo pociechy.

— Pojechałbym nie wiem dokąd — odparł Wierzbietę — gdybym wiedział, że ci istotnie pociechę przynieść potrafię. Spełniłem obowiązek.

Masz więcej odemnie zasobów do rozstrzygnięcia o własnym losie, mój Sylwanie — lecz wiesz, że najdoskonalszy doktor nigdy sam siebie nie leczy. Więc choć ty nierównie jesteś w medycynie dusznej bieglejszy, ja z moją ubogą nauką doświadczenia przybywam ci w pomoc.

Sylwan uściśkał go, nie mówiąc, jakby na razie rozmowy w tym przedmiocie chciał uniknąć.

Umyslnie począł mówić o fraszkach.

— Mój drogi — odparł, umiem ocenić twe poświęcenie — ale ty całej jego rozciągłości nie obrachowałeś.

Wiesz ty o tem, że u mnie nie będziesz miał co jeść, twoim obyczajem, i na czym się położyć wygodnie. Jesteś w chacie chłopca ukraińskiego.

— O! dajże mi pokój! — rozśmiał się Wojtek. — Jak możesz mówić o tem?

— Bo pani Teresa będzie mieć słuszny żal do mnie.

Dla rozpieszczanego trochę Wojtki wistocie tutejsze całe gospodarstwo mieszkanie, sprzęty — wszystko było czemś zupełnie nowem i dziwnym.

Rozpatrywał się ciekawie, lecz zbytniej sympaty nie obiecywał dla tego zwrotu do stanu natury.

Tatiana, uprzedzona, zmogła się tego wieczora na zastawienie stołu takimi potrawami, któreby Wierzbicie, nawykłemu do innej kuchni, znośnymi być mogły. Śmiał się on, jadł ochotczo, powiedział, że rad był wszystkiemu, ale butelkę wina do wieczery trzeba było dobyć z powozu podróżnego.

Wieczór był piękny, księżyc w pełni wschodził już wcześniej. Wyszli w podwórze, a Wojtek zaproponował swobodniejszą w pole przechadzkę, do której dwa czy trzy psy podwórzowe się przylączyły.

Wyszli powoli za wrota. Mała ścieżyna wiodła ku lasowi.

— Mówmy otwarcie — odezwał się Wojtek — przyjechałem po to, abym cię od samobójstwa odwiódł. Niepowinieneś tak, i sam siebie na ołtarz własnej dumy poświęcać — i swoim przyjaciółom serc zakrwawiać. Myśl zostania chłopem, gdy ojciec cię wychował na cywilizowanego człowieka — jest poprostu nedoręcznością.

Zdziczyć dobrowolnie jest występkiem i grzechem — powiedziałbym jak ksiądz proboszcz — przeciwko Duchowi Świętemu.

Sylwan słuchał, roztargniony.

— Wojtek kochany — jam to już z twoich ust nie jeden raz słyszał, i nie trafiło mi to do przekonania.

Na waszym świecie nie mam co robić i byłbym zawsze w położeniu fałszywym i nieszczęśliwym. Co się tyczy przyjaciół, o których wspominałeś, mój Wojtku — oprócz ciebie nikogo na świecie nie mam.

— Pozwól choć na jednego jeszcze, a raczej na jedną. Jest nią panna Michalina — dodał Wierzbietę...

— Panna Michalina... panna Michalina — szepnął Sylwan — Bardzo mi jej żal... mogła sobie znaleźć coś lepszego odemnie. Złe tę przyjaźń umieściła!

— Ty jesteś najniewdzięczniejszym z ludzi — przerwał głośno Wojtek. — Mówmy jasno i bez obwijania w bawełnę.

Panna Michalina ma dla ciebie więcej niż przyjaźń: przywiązała się do ciebie, jesteś jej do życia potrzebnym. Wkłada to na waszmości obowiązek...

— Uczynienia jej nieszczęśliwą! — ironicznie podchwycił Sylwan. — Dobrze, mówny otwarcie — nie mam nazwiska, jestem niemal podrzutkiem jakimś...

Imię, które noszę, nadał mi ojciec, sądząc, że ono mnie osłoni; ale ja się niem brzydzę — i podrobionem mojem szlachectwem. Na tem kłamstwie przyszłości budować nie mogę...

W waszej społeczności, takiej, jaką ona jest — ja miejsca prawego nie mam — i nie winię społeczeństwa, bo prawo, które mnie karze za winę ojca, ma na celu wstrzymać bezprawie... Położenie moje jest bez ratunku... Samo przyznanie się do niego przed Zawierskimi — jest niepodobiestwem, a im kłamać — nie mogę!!

Wojtek długo szedł obok mówiącego, puszczając ogromne kłęby dymu z cygara.

— Mnie się zdaje — odparł, że panny Michaliny świadomość twojego rzeczywistego położenia wcale-by nie zraziła. Ażeby usta zamknąć ludziom, dosyć-by było oddalić się z tych stron, w których znanym jesteś, na lat kilka. Pamięć ludzka bardzo krótka.

— Wojtku — nie wymyślaj napróżno — przerwał Sylwan — wiesz mi, że co tylko wyobrażnia mogła wymarzyć i wyśnić, wszystko już przechodziło przez moją głowę; a żadna z tych mrzonek ognia próby w sumieniu wytrzymać nie mogła. Są fatalności — nieuniknione! Skłómy głowę przed niemi.

Sądzisz, że mi tak łatwo zerwać z moją przeszłością — stać się innym, zakopać gdzieś, zamrzeć nieznanemu w głuchej pustyni!

— Ale cóż cię zmusza do tego! — wyrwało się Wierzbicie. — Dopóki żyła twoja matka, rozumiałem ofiarę dla niej, ale dziś...

— Może dla jej pamięci! — westchnął Sylwan — a może...

Wierzbicie sprzeczał się długo; rozmowa ich pod las zaciągnęła — i nie powrócili, aż około północy do dworku, w którym już u jednej tylko Tatiany się świeciło.

Wojtek trzy dni zabawił w Rusinowym Dworze — i nie mógł powiedzieć, ażeby podróż była daremną. Po sporach, rozprawach, argumentowaniach, stanęło na tem, iż Sylwan miał rok czekać, nim-by coś stanowczego przedsięwziął. Dał na to słowo Wierzbicie.

— Przyjedźże do Zaborowa — dodał, uzyskawszy to, Wojtek.

Niecierpliwie się zżymał na to Horpiński.

— Czy się godzi mnie to radzić i namawiać na krok, którego ani sumienie mnie, ani tobie litość nie pozwala pragnąć? — zawołał surowo. Ja potrzebuję odwyknąć od towarzystwa kobiety, po której i tak już tęsknię zanadto. Godziż się to, Wojtku?

Wierzbicie mruczał coś niewyraźnie.

— Czynisz jej tem przykroś — rzekł.

— Chwilową, — dodał Sylwan, ale staram się nas oboje znieczulić na przyszłość... Tak każde sumienie.

W czasie pobytu swojego w Rusinowym Dworze Wojtek dosyć zrecznie badał Sylwana o nie-które szczegóły z przeszłości — niejasne, wątpliwe.

Horpiński nie tał przed nim tego, iż położenie terażniejsze winien był rodzinie Nitosławskich, która, dowiedziawszy się o małżeństwie z Wierzbicą, — słabego człowieka zmusiła niemal do unieważnienia go, do zniszczenia śladów i starania się o zapewnienie losu dziecięciu w inny sposób.

Sylwan był pewien tego z opowiadań matki, że brała ślub z Nitosławskim; nosiła ona obrączkę złotą, z datą dnia obrzędu, którą Sylwan po niej odziedziczył.

Miał więc prawo i do nazwiska i do majątku po ojcu. Pierwszego mu odmówiono, zatarto ślady — ale za drugi wynagrodzono go hojnie.

Nie mówiąc nic o tem Sylwanowi, Wierzbicie

mówił sobie, iż możeby — metryka ślubu znaleźć się mogła i małżeństwo potajemne udowodnić.

Napomknął z lekka przyjacielowi, który pogardliwie się rozśmiał.

— Po latach kilkudziesięciu, gdy rodzina pracowała nad tem, aby zatrzeć wszelki ślad, zniszczyć dowody, gdy ani pieniędzy na to, ani starań nie żalowano, — ludzie, co byli świadkami pomarli — pamięć znikła — chceć dochodzić nanowo... byłoby nietylko próżnem, ale śmiesznem!!

Wierzbicie zamilkł...

Niemogąc nakłonić do odwiedzenia Zaborowa, a chcąc zapobiedz, aby się samotnością w Rusinowym Dworze nie zabijał przyjaciel, pracował nad nim póty Wojtek, aż go skłonił do odbycia podróży za granicę.

Razem niegdys zwiedzali Włochy.

— Poklonisz się im odemnie — wołał Wojtek w uniesieniu wspomnieniami młodości wywołanem. — Mnie samego Terenia nie puści, a jechać z nią, z Emilcią, z Docia — ani myśleć. Jedź więc choć ty i pisz mi dziennik podróży; będę się nim napawał.

— Zdrajco! — odparł smutnie Horpiński — chcesz aby się nanowo rozmiłował w tem, czego się wyrzec postanowiłem.

— Bo nie widzę konieczności wyrzekania się. Sylwan zmiął w końcu i przyrzekł, że pomyśli o tem.

Wierzbicie zaś podstępnie układał tak, ażeby Zawierskie wyprawić również za granicę i — spotkanie z niemi uczynić nieuniknionem.

Powróciwszy do Makolągwy, nacieszywszy się dziećmi, wytłómaczywszy przed żoną — pobiegł trzeciego dnia do Zaborowa. Oczekiwało tu na niego — to jest panna Michalina tylko, bo matka patrzyła okiem niechętnem na stosunek z Horpińskim, — z wielką niecierpliwością.

Przez przywiązanie do córki nie śmiała się jej sprzeciwiać biedna stara, ale opłakiwała zasłepienie i modliła się o to, aby Pan Bóg ją wyzwolił od tej przyjaźni.

Przy niej więc nawet rozmówić się otwarcie z Misią nie mógł Wojtek; lecz wymienili słów kilka, a resztę trzeba było w listach pomieścić.

Podróż do Włoch nadzwyczaj się uśmiechała pannie Michalinie; zdrowie matki mogło ją usprawnić. — Interessa nie były już w tak złym stanie, aby na skromną wycieczkę dwóch kobiet nie starczyły... Na pierwsze jednak wspomnienie o tem matka krzyknęła, załamując ręce i protestując, że nigdy na to nie pozwoli. Ludzie mieliby prawo naówczas oskarżać ją o ruinę, o marnotrawstwo, gdyby, zaledwie cudem się uratowawszy, przedsiębrały podróż kosztowną.

Zdrowie Misi nie wymagało tego... ona zaś — dla siebie nie żądała nic nad trochę spokoju i zapomnienia losu córki.

Przekonać jej nie było podobna.

Wierzbicie i córka ani się nawet po pierwszym wybuchu kusili...

Być może, iż instynkt jakiś ostrzegał matkę o spotkaniu projektowanem, o którym wiedzieć nie mogła.

Wspomnieliśmy o tem, że nieboszczyk Pruszczyk był jednym z tych, którzy popierali mocno sprawę Nitosławskiego, starającego się o pannę Michalinę.

Zbliżył się on do rodziny Nitosławskich za pośrednictwem imiennika swojego, pana Krzysztofa Pruszczyca, ubogiego szlachcica, trochę prawnika, trochę handlarza — koniarza, który był Nitosławskich sąsiadem.

Oryginalna ta figura, teraz, gdy Pruszczyk stary zmarł, przywlokła się do Zaborowa, opatrzona w dowody pokrewieństwa, chcąc poszukiwać spadku po nieboszczyku. Odprawiono go do Wierzbicy, między innymi, aby się tam o stanie interesów informował.

Pruszczyk ten, niegdys bałagula, szalona pałka, którą wiek znacznie ostudził, mężczyzna ogromnego wzrostu, z lśniącą jak kość słońcowa łysyną, z wąsem na piersi spadającym, z butą ukraińsko-szlachecką i obyczajem kozaczym, — wśród znacznie spokojniejszego społeczeństwa wydawał się dosyć dziwnym. Mimo wieku, nosił się kuso, ruchy chciał mieć młode i jaskrawymi chusteczkami na szyi, płeć brązową, opaloną

czynił jeszcze ciemniejszą; krzykliwy głos, ruchy gwałtowne, mimika, aż do śmieszności posunięta, raziły i męczyły w nim — ale dla nikogo sobie nie czynił przymusu.

Posiadłość ziemską, małą, zagadkową — bo nikt nie wiedział, czy był na niej dziedzicem, dzierżawcą, czy zastawnikiem, — służyła mu tylko do utrzymywania koni, którymi frymarchy; miał ich zawsze wiele i nieustannie po jarmarkach z niemi, z Tatarami i innymi właścicielami tabunów, się włóczył. Grywał oprócz tego namiętnie w karty i w towarzystwie szlachty majątniejszej z tego powodu był przyjmowany, choć do salonu wcale nie zdawał się stworzonym. Resztki jakiegoś zapomnianego wychowania, zły francuszczyzny i pewnych elementarnych wiadomości, w nim się przebijały. Była to pozostałość z jakiejś chwili bytu naszego, która, gdy towarzyszące jej zjawiska znikły, sama dotąd ze swą właściwą fizjognomią się uchowała.

Wyprawiony do Makolągwy, pan Krzysztof w początku dosyć był zimno przyjęty.

Tereni wydał się okropnym zbójem. Wojtek patrzył nań, jak na archeologiczny zabytek. Lecz, z powodu interesów Zawierskich potrzeba go było przyjąć grzecznie i rozmówić się z nim spokojnie.

P. Krzysztof zresztą, jakkolwiek go przyjęto, wcale się nie troszczył o to, i wszędzie się rozgaszczał pokozacku. Wierzbicie wkrótce poczył poufale zwać po imieniu i wywnętrzać się przed nim z otwartością starego znajomego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kilka listów z przeszłości

zebrał

Wielisław.

Listy, które tu ogłaszam, znalazłem w zbiorze korespondencji pozostałej po pani Ewie C., przeżywanej za życia pieszczotliwie „Treźwicią” — jakby „Skarbczykiem” w rodzaju żeńskim. Pisała je w r. 1829 do przyjaciółki swojej i koleżanki z pensyi pani Idali Z....

Listy te odbijają w sobie ówczesne życie, usposobienie, stosunki towarzyskie, nastrój umysłów i obyczaje ówczesnych kobiet wyższego, choć nie najwyższego towarzystwa. do którego obie te panie należały. Czuć w nich przetem silnie współczesną atmosferę Warszawy w zakresie wydarzeń ważniejszych, drobnych przygód i wieści potocznych, którymi się wszyscy wówczas zajmowali. Niejeden wypadek anegdotyczny, niejedno dawne urządzenie, wiele głośnych osobistości, przez odczytanie tych listów odświeży się w pamięci czytelnika starszego, młodszy zaś dowie się z nich o rzeczach, których przedtem wcale nie znał. Z wielką historią listy te nie mają nic wspólnego; wobec niej to, co się w korespondencji pani Z. znajduje, jest tylko drobiazgiem. Ale przeszłość tak prędko ucieka, tak gwałtownie znika nam z przed oczów, że ją chwycić potrzeba nawet w jej drobiazgach....

Jako przyczynek do historii obyczajów, listy te nie roszczą sobie pretensyi do pierwszorzędności, ale nie są też i bez znaczenia.

Z tych względów, uproszeni przez Redakcję, przygotowaliśmy je do druku. Naturalnie, że nazwiska osób wspomnianych tu mniej korzystnie, z uwagi na żyjące ich rodziny musieliśmy zataić przed czytelnikiem. Obowiązek tajemnicy rozciągnął się także i na nazwiska obu osób korespondujących ze sobą. Dla potoczności czytania pousuwaliśmy liczne gallicyzmy, pozostawiając tylko charakterystyczne wyrażenia i wykrzykniki francuskie. Zmianie uległa pisownia listów — niezawsze wzorowa. Nie wszystko też dało się wydrukować, co było w zbiorze, a co wydrukowane, nie wszystko występuje w całkowitem swem brzmieniu.

Wszystkich listów pani Idalii do p. Ewy jest dziewięć. Wszystkie są obszerne, z czego widać, że gdy jedna nie lubiła milczeć, druga lubiła słuchać. Pierwszy list jest z 18 Kwietnia, ostatni z 14 Czerwca 1829 r.

LIST I.

Warszawa, d. 20 Kwietnia 1829 r.

Ma Cherciul! potrafiłam namówić mego męża, żebyśmy wcześniej, niż zamierzał, pojechali do Warszawy. Dobrze się stało, bo i tak już ledwożemy mieszkanie znaleźli.

Drogę przebyliśmy okropną! Wystaw sobie: z Tarnoskały zpod Kielc jechaliśmy cały tydzień, a tylko jeden nocleg, u Sołtyków w Piastowie, mieliśmy wygodny; zresztą brudne karczmarka same, a przez to, że teraz żydom siedzieć w nich nie wolno, mniej czego dostanie, niżli dawniej. Tych odwiedzin u Sołtyków małośmy życiem nie przypłacili, bo przez to, że dla odwiedzenia ich, opuszciliśmy główny trakt krakowski, zbaczając na Radom, pod Białobrzegami ledwośmy się nie utopili na grobli, przy przeprawie przez Pilicę. Mąż najął sześciu konnych do przeprowadzenia karety; ale, że wielkie wylały wody, klacz więc nasza u karety wpadła w rów, i ledwo, że ją drągami wydobyto, nawpół żywą.

Niemniej niemłą była przeprawa, na błotach pod wsią słusznie przezwaną „Piekielek”, nie dojeżdżając do Grójca, tak żeśmy wszyscy: „*Kto się w opiekę poda panu swemu*” śpiewali strwożeni, bo nie jeden tu już przeklinał to topielisko. Nie obeszło się i tak, bez wypadku, gdyż przy tych wybojach oś u karety pękła. Na szczęście nasze, niedaleko to się stało od Ociosał, w których mieszka teraz nasza dawna koleżanka z pensyi od pani Wilczyńskiej.

Pamiętasz tę Magdzię Skórkowską, co to taka pobożna, zawsze piątek każdy suszyła? Otóż ona to wyszła za męża, za pułkownika z czasów francuzkich, także obranego posłem na sejm terazniejszy. Gdyśmy zatem po pomoc w wypadku, do ich dworu posłali, pułkownik człowiek nader grzeczny, sam przyjechał po nas powozem, zapraszając na nocleg do ich domu. Trudno było odmówić. Tam zastaliśmy Kasztelanową Wichlińską, Kozietulską z domu, ich sąsiadkę. Mizerna, mało mówiąca... *On la dit inconsolable* po stracie przyjaciela wielkiego, jakiego miała w Namiestniku Zajęczku.

Nazajutrz naprawiono karete—i pusciliśmy się dalej w podróż, znowu po niegodziwych drogach. Mąż mój wcześniej się cieszył nadzieją, że zakosztuje sławnej tarczyńskiej pieczeni i nie zawiódł się, bo ma apetyt wiecznie doskonały; przyniesiono dla mnie kawał tego okropieństwa—zdaleka czuć było poźłotą. Kazałam sobie ogrzać kawy, którą jeszcze w domu nagotowałam w butelkach na drogę, przegryzłam domową bułkę i o tem dojechałam do Warszawy, pośród przekasów mego Florka, który, najedzony, śmiał się, że przez moje wojewódzkie podniebienie będę głodną. Wolę głód, niż chorobę od tarczyńskich przysmaków—*que j'ai en horreur*.

Dopiero w Raszynie wjechaliśmy do drogi co nazywają „szosse”. Mój Boże! cóż to za wynalazek z nieba, taka murowana droga, po tylu złych, któreśmy z niebezpieczeństwem życia przebywali! Niech co chcą mówią, ale sądzę, że ten Anglik czy Irlandczyk co pierwszy wpadł na pomysł takich dróg, chociaż pewno protestant, niebo zyska za swój wynalazek. Nie wiem czy w twoich stronach jest szossa i czy nią jechałaś kiedy: jak pojedziesz, sama przyznasz, iż mam rację. Jest to wynalazek ważniejszy, aniżeli cukier z buraków, o którym mówią, że fabrykę jego ma zakładać w Guzowie pan Henryk Żubiński. Będzie to zapewne paskudztwo nakształt tarczyńskiej pieczeni. Nikt mnie nie namówi do skosztowania tego burakowego przysmaku. Bogu dzięki, mam zagraniczny kanar z trzciny cukrowej, i przy nim zostanę. Zastąpić on może chyba tylko miód, którym bieda słodzi swoje trunki.

Mąż mój w Raszynie chciał obić laską żyda, co nam szlaban zamknął przed nosem, żądając opłaty myta. Postąpił sobie niegrzecznie, konie nam wystraszył, bo i tak mógł być pewien, iż każdy z chęcią za tak dobrą drogę zapłaci złotówkę myta. Chłopi jedynie od opłaty wolni, ale muszą przy szlabanie za to składać do budowy drogi potrzebne kamienie.

W Sękocinie widziałam jak zasiewano las sosnowy. Chyba pod jedną Warszawą może taka robota przydać się na co, gdy drzewo w przyszłości zdrożeje; bo dziś, gdy dostanie tęgą furę za sześć złotych, a jak w naszych stronach to i za dwa, praca to zbyt ciężka, tylko mnie mąż objaśnił, że i zagranicą to robią, aby drzewo nie przyszło do zbyt wysokich cen.

Do Warszawy, po tej drodze gładkiej jak stół, dojechalśmy prędzej, aniżeliśmy się spodziewać mogli, ale w rogatkach omało, że nie było nieprzyjemności.

Musisz wiedzieć, że w Warszawie płaci się podatek od wódki, mięsa, tabaki, konsumcyjnym zwany, a kto tam wjeżdża, musi na rogatkach deklarować: czy nie wiezie czego podobnego ze sobą. Po deklaracji, jakieś pacholki ubrane zielono, przetrząsają wszystko wszędy i wzdłuż — szukając—wietrząc. Jestto *au suprême dégrés* subiekcyjne.

Dobrze to wszakże być posłową. Właśnie gdy w rogatkach stanęła kareta nasza, widziałam jak ci dostojnicy trzęśli niemiłosiernie jakieś obywatelki, kazali im wysiadać w błoto z powozu. Biedne, przeklinały ministra Lubeckiego i jego urzędzenia, na czem świat stoi. Myślałam, że i nam przyjdzie tak zrobić, ale celnicy, dowiedziawszy się, że to poseł jedzie, na rozkaz starszego, co z nimi był, tylko nam się grzecznie uklonili i szlaban kazali otworzyć, a byłam w strachu niemałym, bo na bryce, co ze służbą jechała za nami, właśnie wiozłam zabite cielę, kapłony, zające, barylkę wódki,—wszystko na prezenta dla znajomych. Wypadłoby dużo zapłacić.

Stanęliśmy u Rozengarta w Hotelu Wileńskim, ledwo dostawszy tam dwie klitki na drugim piętrze, gdzie się trudno pomieścić, tak wszystko zajęte; ale faktor nam wynalazł mieszkanie na Święto-Jańskiej ulicy. Nie jest ono bardzo dogodne, ale blisko zamku; z okien będzie można widzieć cały obchód koronacyjny, a za takie jedno okno bankierowie tutejsi Szolce i Frenkel zapłacili po tysiąc złotych. Nam całe mieszkanie mało co drożej wypadnie.

Jutro się tam przeprowadzimy. Wystaw sobie *ma chère*, jak będę zajęta, bo to wszystko na głowie nas biednych kobiet. Jegomość przyjdzie do gotowego, pokój czysty, zaprawiony, i jeszcze nagrymasi, że nie jest tak jakby chciał, albo i wylaże, że mu papiery porozrzucano.

Nie spodziewaj się odemnie listu tak prędko, bo będę zajęta bardzo. Dowiedziałam się, że poczta do twojego Płocka dwa razy na tydzień w Poniedziałek i Piątek, rano odchodzi. Ale ambaras chodzić na pocztę, gdzie listy ważą i dwa złote każą płacić za łut, a mój każdy, chociaż na cienkim hollenderskim papierze, przeważy łut, bo piszę długo, a pisałabym bez końca, do mojej drogiej i kochanej Ewcy,—byłam miała na to czas.

Mogłabym listy moje kłaść w urzędowe posłów koperty, co nic nie opłacają; ale jegomość—by tyle nagderał na to nadużycie, iż ruinuje skarb w jego dochodach, że wolę wywieźć się o furmanach i przez nich za jaką złotówkę przesyłać.

Je Vous embrasse de coeur, chère amie,
Votre toute dévouée et fidèle
Idalie.

LIST II.

Warszawa, d. 28 Kwietnia 1829 r.

Ma Cherciul! Nie pisałam tak dawno bo formalnie nie mam chwili czasu. Jeżdżę od rana do nocy po sklepach, magazynach, marszandkach, i wydolać nie mogę. Jegomość łąje za konie, że je męczę, a tu inaczej nie podobna. Deszcz leje

jak z cebra, błoto wszędzie po kostki, bruk taki śpiczasty, że kaleczy nogi, wsiądziesz do dorożki, kobiecie, co się szanuje—jakoś nie wypada; wsiadłabym w końcu, ale takie one wszystkie brudne, że suknie¹⁾ zawałają mogę, a tu coraz wszystko droższe. Wystaw sobie, że sukni, w którejby się można między ludźmi pokazać za sto złotych nie dostanie!—Dziś takie suknie płacą po dwieście i więcej, kapelusze po trzy dukaty najmodniejsze. Nic dziwnego, że przy takiej drożyznie, wzięwszy niedawno na expens tysiąc złotych od męża, dobiegam do końca. Nie wiem, jak będzie dalej, bo i tak już mruczy, że Warszawa nas strasznie drogo kosztuje.

Najpierwsze sklepy: Kelera, Dyżmańskiego, Mathiasa, i wieczorem nawet oświecają kinkietami, bo już dnia zamało—i zawsze kupujących pełno.

Niemal²⁾ ambarasu mam z moimi sprawunkami. Zajdłowa, zarzucona obstalunkami, wręcz mi odmówiła: musiałam jedną dać do krawca Rodowicza, drugą do Żytonowej, Francuzki, co mi ją rekomendowano jako dobrą, inne, jak mogłam, pomieściłam. Taksamo jubiler dworu Siennicki, ani chciał słyszeć o reparacji mego fermoaru, oddałam go do Hildebrandta. Witoszyńska i Jagielska kazały mi miesiąc czekać na trzewiki. Do Grossa i Soliowej odbywają się formalne processy po rękawiczki: jedna kareta odjeżdża, druga zajeżdża, a każdemu pilno. Na twoją aźiustkę ledwo materyjki dobrałam, aż na Nowiniarskiej ulicy, pod kolumnami, u Pinkusa Borowskiego. Nie lubię u tych żydów kupować, bo trzeba się strasznie targować; szarpia, gwałtem prowadzą do sklepu,—ale dla przyjaźni wiele zrobić trzeba. Tu tylko dostałam na tę cenę, jak pisałaś, po pięć złotych łokieć; nie wiem tylko, czy ci się podoba, ale materyja trwała.

Mówią, że to dopiero początek, że potem jeszcze ma być gorzej i drożej. Wyobrażenia już o tem nie mam, co dalej z tą drożyzną będzie.

Posyłam aż na wólnicę¹⁾ we Czwartek po chleb dla służących; przyniesiono chowenki chleba popółzłotku; dawniej takie były po dziesięć.

Nawet Rozengart, do którego posyłam po obiad codziennie, podniósł na każdym cenę o złotówkę. Obiady wyborne: i w domu smaczniej nie podadzą.

Widzisz więc, droga Ewuniu, że się i mało bawię i ciągle mam kłopoty, pośród których najmilszą rozrywką, pisząc do ciebie, jakby porozmawiać z tobą, moja droga. Dopóki mi moich toalet nie wykończą, trudno jest mi się pokazać w moich parafiańskich sukniach, w jakim znajomym domu. Byłam tylko dwa razy w teatrze: raz na *Precozię*, którą wybornie oddała Kurpińska; starą cygankę, grała jakaś nowa, młoda aktorka Żuczowska²⁾, znawcy chwalą ją bardzo; drugi raz byłam na *Wolnym Strzelcu*, którego nazywają także „Frajzycem”. Muzyka prześlizczna, ale cóż, kiedy te strzały, kiedy ten zaduch z prochu, wstrząsały nerwami moimi; myślałam że zemdleję — strzelają tam naprawdę na scenie do gołębi.

Wystaw sobie, że tam, na parterze, obok pieca, dojrzałam naszego wielbiciela, co to nam przy wychodzeniu z Kościoła Pijarów zawsze drogę zastępował co Niedziela i przypatrywał się—ty utrzymujesz, że mnie, a ja mówię, że tobie... Mniejsza dziś o to: obie mamy meżów po oglądania aż do śmierci, a na wielbicieli i patrzeć nie bardzo wolno. Z tem wszystkim sama nie wiem, dla czego na widok jego zarumieniłam się. On się mocno zmienił: wylisiał, podstarzał, spowazniał. Dopiero gdy się mężowi memu uklonił a mąż uklon mu oddał,—spytałam Florka: co to za jeden?—Odpowiedział mi: Referendarz Stanu K., niedawno widać dekorowany orderem. Myślałam, że przyjdzie do nas do łoża w czasie antraktu, ale nie przyszedł, co pokazuje, że ostatecznie miałam rację mówić, iż to dla panny Ewy tak pobożnie

1) Targ raz na tydzień dla biednego ludu, wolny od opłat konsumcyjnych.

2) Dziś sędziwa p. Halpertowa, mieszkająca w Warszawie.

mszy naszej pensjonarskiej wysłuchiwał u Pijarów.

A *propos* kościoła, powiem ci, że pułkownik Oborski i hrabia M. wskrzesili zwyczaj asystowania powozom dam konno, i tak asystując swoim damom, jadącym z Willanowa do kościoła, zajeżdżali kiedyś do Kapucynów, gdzie co Niedziela msza tak zwana elegancka się odbywa.

Z teatru mąż mnie zaprowadził do cukierni Lursa w domu pijarskim umieszczonej, naprzeciw gmachu Teatru Narodowego, aby tam zobaczyć światło gazowe, świeżo z Paryża sprowadzone. Znalazłam je jaskrawem, oczy psującym, migoczącym. Wątpię, aby tem chcieli oświecać ulice, bo wszyscy chodząc musieliby, jak dziady stare w okularach. Taksamo rażąco oświećła swoje salony Francuz restaurator Szowot w pałacu Kornerowej przy ulicy Miodowej.

Dziś, za sprawunkami wyszedłszy na miasto, spotkałam się z bardzo smutnym pogrzebem panny J. córki jedynaczki, rodziców zamożnych, bogatych.

Nieszczęśliwa matka szła wpół żywa od żalu za ciałem, podpierana przez ojca zmarłej, a czas był tak okropny, wicher z deszczem i gradem, że muzykantów przygrywających marsza żałobnego o trzy kroki słyhać nie było.

Pocziwa Majesia, która wszystko wie, co się w Warszawie dzieje, jechała ze mną; biorę ją często, jeżdżąc po sklepach. Objśniła mnie, że ta śmierć ukochanej jedynaczki ma być słuszną karą za nieszlachetny postępek pana ojca.

Ten pan J., dziś znakomity urzędnik przy Radzie Stanu, a przez żonę bogaty przed dwudziestu laty, obiecywał się ożenić z pewną ubogą panną, córką starego officera.... Dzień ślubu był prawie naznaczony; aż tu pan J. dojrzawszy, że bogata panna N., jego dzisiejsza żona ma się ku niemu, nagle zerwał z tamtą i w tajemnicy przed dawną narzeczoną z nową się ożenił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Bracia Maucroix (Les Maucroix), komedia w 3 aktach, *Alberta Delpit'a*, przedstawiona poraz pierwszy dnia 16 b. m. **Podróżnik** (Le voyageur), obrazek sceniczny *Oktawiusza Feuillet'a*, przedstawiony dnia 21 b. m. — obie sztuki przełożone z francuskiego.

W *Powinowactwach* z wyboru Goethe stawia w formie przelotnego aforyzmu tezę głęboko-rozumną, że życie ludzkości składa się z ciągłych powrotów do form dawnych i ciągłego zdobywania sobie nowych. Patrząc na dzisiejszą, najnowszą dramaturgią francuską, zadajemy sobie pytanie: czy nie znajduje się ona dziś już na drodze powrotu do jednej z dawnych form swoich, od wielu bardzo lat już zarzuconej i przez wiele bardzo lat ośmieszanej? W tem chyba nie popełnimy błędów, że zarówno myśl twórcza, jak i zmysł praktyczny autorów dramatycznych we Francji, zaczyna się nużyć całym tym rozpanoszoną na deskach teatralnych światem, czy ćwierć światem, herbowym czy nieherbowym; całą tą zgrają wibryonów: rozbojników salonowych, żon niewiernych, zdradzających przyjaciółek i przyjaciół; wszystkimi temi kameliami i hortensyami wyrastającymi w cieplarni zepsucia bez granic, bez nadziei. Dumasowska metoda stawiania i rozwijania zagadnień społecznych w jednym okrzyku pijanej życiem nikczemnicy — utrata już swój patent nowego wynalazku. Zapal dla tematów namiętności nieokiełzanej stygnie — i rozpoczyna się powrót do sztuki uczuciowej, pod względem estetycznym nie zawsze może szczęśliwy, ale pod moralnym pożądanym i dobry.

Jeżeli ten kierunek znajdzie dalszych przedstawicieli i nie ustanie — to powoli zawróćmy wszyscy do dawnego, tak srodze piętnowanego i wyszydzanego, melodramatu, z tą tylko różnicą, że gdy tam działanie dramatyczne rozwijało się w warunkach życia najprostszych, najpospolitszych, niejako banalnych, a działacz każdy mógł być, równie jak jego uczucie, *simplex servus Dei* —

do nowego melodramatu potrzeba będzie natury wybredniejszej, wyżej wyrosłych, silniej w sobie zróżniczkowanych, i sytuacji niezwykłych, któreby pozwalały dramaturgowi zrobić z umysłem widza, to, co się w prawie kryminalnem nazywa „włamaniem“. Do tego już zmierza najnowszy kierunek uczuciowy — słabo jeszcze, ale już występujący.

Do tego kierunku należy komedia Delpit'a *Les Maucroix*. Napróżnoby kto kuśił się o rozwiązanie pytania: jakim sposobem autor mógł sztukę swoją imieniem „Komedyi“ ochrzcić? Jestto nadużycie, na które mu publiczność i krytyka francuska pozwoliły — a wiadoma jak jedna i druga pobrażliwymi być umieją. Jeżeli to „comédie“, to tylko z dodatkiem: „larmoyante“. Robota pana Delpit jest melodramatyczną, nie tylko przez temat swój i wprowadzone w grę główną stosunki ludzkie, ale takie i przez to, że autor od początku samego nadał jej melodramatyczną budowę, obliczoną na wyciśnięcie łez z oczów widzów. Wygląda to tak, jakby ktoś będąc, jeśli nie królem, to przynajmniej wyższym urzędnikiem kolejowym, umyślnie urządził sobie spotkanie dwóch pociągów i czekał: co też z tego będzie?

W *Braciach Maucroix* spotykają się poraz pierwszy w życiu, w domu zajeżdżnym w Evian, dwie matki, dwaj bracia, dwie rodziny mające wspólnego ojca. Siła nienawiści w jednych spotyka się z siłą wstydu i nieszczęścia w drugich: dusze nie mogą wyjść bez zgruchotania. P. Maucroix opuścił ognisko rodzinne, które mu nic złego nie zrobiło, opuścił je tak, jak się opuszcza ojczyznę swoją dla wałęsania się między obcymi. Znalazł kobietę (Helene), która mu się pobobała, przywiązał się do niej i, niedbając o rodzinę dawną, założył sobie nową. Opuuszczona, sama lzy wylewając, w syna swego wpoila nienawiść. P. Maucroix z drugiego związku doczekał się także syna, Juliana, który wyrósł na pięknego duchem i ciałem młodziana — a nic o sfałszowanej metryce swej nie wie. Dowiaduje się o niej dopiero z ust prawego syna p. Maucroix a brata swego, Henryka. Między obu braci wchodzi kobieta: nienawiść dawną potęguje się nową. Henryk wyzywa Juliana — na pojedynek. Helena chce ocalić syna: błaga pani de Maucroix, która, jakby zrobiła kontrakt z losem, zrazu nie daje się wzruszyć, później widokiem przywiązania synowskiego wprowadzi się roztkliwia, ale nic nie robi. Henryk, nastaje i naciera; daruje Julianowi życie, jeżeli oboje, i matka i syn, natychmiast wyjadą, aby nie świecili nieprawością swoją tam, gdzie prawość sięga po kobietę. W ostatniej dopiero chwili, wymógłszy już zobowiązanie, Henryk nie może znieść dobrowolnego przyjęcia na siebie hańby tchórzowstwa przez Juliana wobec kochającej go istoty; przebacza mu krzywdę — której przecież nie on się dopuścił — i rzuca się bratu swemu na szyję.

Sztuka mogłaby się skończyć wyjściem Nury za Pompiliusza; ale Delpit czuł, że takie rozwiązanie zniweczyłoby powagę prawa moralnego, w imię którego Henryk i Helena są stroną silniejszą i lepszą. To, co nie miało racji bytu w życiu etycznym, ustąpić musi i ze sztuki. Matka przez wstyd i żal nad dzieckiem, syn przez miłość dla niej — schodzą ze sceny. Zakończenie takie jest najlepszą rzeczą w całym tym utworze.

Sztuka jest, jak widzimy, *sytuacyjną*. Rodzaj to najłatwiejszy: potrzeba tylko obmyślić kolidyze — i rzecz gotowa. Jedynymi żywymi charakterami w sztuce są zakochani w sobie: Julian i Hermينيا. Filister Gérard, ojciec Herminii, mógłby zza kulis mówić swoje „tak“ i „nie“ energicznej, samodzielnej córce, która zna swoją władzę nad nim i, dobrze zagrana, byłaby postacią wcale pociągającą, nawet oryginalną. Niewybaczoną jest nicosć papy Maucroix: widmo spełniać-by mogło to samo, na co się zdobywa ten żyć przecież mający człowiek. Autor, kreśląc charaktery dwóch kobiet, nie uczynił ich jednakowymi, zwłaszcza w stosunku do synów: matka nieprawa odbiera od serca synowskiego objawy szczerzego uczucia; matkę prawą syn jej kocha tylko za pośrednictwem nienawiści do tego, który jej szczęście wydarł. Oba te charaktery kobiece, nierozwinięte, nie-

upowodowane należycie, niepogłębione odpowiednio do wymagań położenia, mają jednak w starciu się ze sobą dialog pięknie przeprowadzony i wzruszający. W Henryku chciał Delpit ukazać naturę sangwiniczną, zapalczą, niezdolną do żadnych ceregieli, nieszanującą żadnych względów, ale zdolną odczuć wyższość i mającą w sobie samej ziarno wyższości; i dlatego mu kazał służyć wojskowo, bić się za ojczyznę, zapalać się odrazu dla dziewczęcia ledwo ujrzanego, wyzywać brata na pojedynek — choćby sekundantami w nim mieli być czterej żołnierze plemoncy — a po tem zamierzonym morderstwie w chwili stanowczej rzucił go w objęcia nieszczęśliwego brata. Chciał, ale nie umiał — i jego Henryk przy najlepszej nawet grze nie sprawi wrażenia jednolitej istoty. Targowanie się z Julianem jest biegunowo przeciwnym takiemu charakterowi, jaki sobie autor wytworzyć zamierzył.

Udał mu się zato zupełnie charakter Juliana — czuły, ale nie słaby. Są istoty żyjące tylko z trudem. Julian żyje łatwo, ale nie lekko: owszem będąc uczuciowym, jest rozumny; pomimo swoich dwudziestu lat życia ma głębokość i powagę, jakiejby mężczyzna starszy mógł mu śmiało pozazdrościć. Przywiązanie do matki, do rodziców zrozumienie i odczucie strasznego położenia, czyste, naiwne przywiązanie do dziewczęcia — mienia się w barwy szlachetności duchowej, o którą na scenie przynajmniej starać się potrzeba, gdy jej tak mało jest w życiu.

Gry artystów szczegółowo rozbierać nie będziemy; ogół nie zadawalnia. P. Rakiewiczowa miała tyle ról większych, trudniejszych i wyżej w hierarchii sztuki scenicznej stojących, że gdybyśmy ją nawet pochwalili ze Henryką, nie wieleby to do jej zasług dawniejszych dodało. P. Niewiarowska umiała się wcielić w postać p. Maucroix; czuć było żal, ale nie ból kobiety; czuć było pogardę damy wyższego świata. P. Czaki wzięła swą rolę za nisko; dobrze, że nie trzpiotowała, ale naiwność, nawet umiarkowana, do jakiej wiek Herminii uprawniać-by mógł artystkę, nie może się tu w żaden sposób pogodzić z poważnym gruntem jej duszy. Herminia potrzebuje być tylko wesołą. Struna uczuciowa w scenach z Julianem za słabo się odzywa: nie chcemy czułości, patetycznego, załamionego głosu, — ale trochy ciepła, któreby świadczyło o sercu. Obok trzęwego rozsądku, miary, silnego zesrodkowania się w sobie i talentu życia, na całość charakteru Herminii składa się przecież i serce — i to nie tylko generyczne, ale wyosobnione już, własne, indywidualne serce.

Pan Prażmowski zrobił wcale niezłą próbę z rolą Juliana. Jeżeli się sztuka utrzyma, można będzie przez pracę udoskonalic rolę, dobrze już teraz wziętą. P. Ładnowski nie miał co robić. P. Kotarbińskiemu Henryk odmówił posłuszeństwa. Dobra gra mogłaby do pewnego stopnia braki roli wypełnić, mogłaby, w miarę środków sztuki scenicznej, zbliżyć ją do ideału jednolitości w charakterze; gra P. Kotarbińskiego nie pozwoliła wydobyć z roli Henryka nawet tego, co jej dał sam autor.

Podróżnik (Le voyageur) jest to małe nic: trochę piany, trochę pokostu, i na tem koniec. Czyżto feuilletowski to dialog: elegancki, wymuskany, niekiedy dowcipny, ale przez treść swoją i charaktery osób rozmawiających taki, jakich tyś się już bywało, i osobno, i w większych sztukach. Kochają się ci kuzynkowie, Laura i Henryk, chcą żyć ze sobą, ale mogliby i bez siebie się obyć. Niegdyś podobało się jedno drugiemu, ale on był niesmiałym jakimś i niezdarnym wobec kobiet; ona, przeciwnie, oprócz śmiałości miała i konkurenta: wyszła więc za mąż, za jakiegoś Gastona, zostawiając kuzynka nakoszu. Odrzucony, pojechał do Ameryki i tam boleść swoją zatopił w badaniach wielce uczonych, ciężkich i głębokich; a kiedy powraca, kuzynka jest już szczęśliwie wdową — i ma znowu, aż dwóch konkurentów: jednego, który konkurując nogą na nogę zakłada, jakby był w karczmie, drugiego, który sam siebie uważa za wielkiego dostojnika, choć świat uważać go może tylko za starego błazna. Zwycięstwo dla Henryka nie trudne. Oczywiście, wy-

raz „wdowa“ jest zbyt ponętym, aby nawet w uczonym badaczu wspomnień, a przez wspomnienia, i nadziei żywszych nie wywołał. Wobec takich konkurentów, których nam autor pokazuje w sposób niezręczny, umyślnie na to, abyśmy ich widzieć mogli, Henryk, ośmielany i zapędzany przez wdowę do oświadczeń, musi, chociażby nie chciał, swój dyalog z Laurą zakończyć uściśkiem.

Pani Lüdowa i p. Tatarkiewicz dobrze wywiązali się z zadania. Pani Lüdowej nie brak nigdy elegancji: a to rzecz główna w roli Laury. P. Tatarkiewicz zrozumiał, że wszelka uczuciowość w grze byłaby niewłaściwą: Henryk musi być trzeźwym, rezolutnym i spokojnym.

S. K.

ZA OCEANEM

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Brazylii.

przez

HELENĘ NEGRONI.

I. Na Atlantyku.

(Dalszy ciąg).

Przybycie okrętu stanowi uroczystość dla mieszkańców wysepki. Jest to jedyny łącznik ze stałym lądem, ze światem cywilizowanym, a nieraz z rodziną i dziećmi: to też wszędzie flagi powiewające, panie wystrojone, urzędnicy w mundurach. Kto żyje, i czem się kto przyczynić może do oświetlenia tej uroczystości, z tem występuje; kolebki z niemowlętami, murzyni, papugi, małpy, psy i koty, — wszystko się na skwerze roi, cieszy i radość swoją głośnymi powitaniem objawia. Wśród tego prawdziwego pandemonium, rażącego jaskrawością światła, żarem zwrotnikowym i — neglizmem stroju Murzynów, przeszliśmy do pewnego rodzaju zajazdu, gdzie obok restauracji mieści się jedyny sklep miejscowy. Połączone są w nim, w nieestetycznym nieładzie: skład delikatesów, magazyn mód, obuwia i ubiorów; nagromadzone stosy ananasów, bananów, kapeluszy słomkowych, fasek z masłem, beczek z kartoflami, winem i olejem. Niczego tu nie brakuje — znajdziesz jeszcze garnki, rondle, hamaki, wachlarze i t. d. Po obejrzeniu tych wszystkich ciekawości, a bez żartów, niejedne się tu znajdują nieraz przez majtków z rozmaitych części ziemi trafem przywiezione i zabezpieczone zbyte, zaopatrzwszy się w wachlarze z liści palmowych, przeszliśmy do restauracji, gdzie ucztą, bynajmniej nie lukulowska, nas oczekiwała. Ryba, kształtem do węgry podobna, ale zupełnie czarna, pływała w gęstym oleju. Dopomagała jej mączka z manioku, która sama w sobie może być wysmienita, ale w stanie zupełnie surowym wcale do smaku nam nie przypadła. Nie mogliśmy przełknąć tych łakoci; posililiśmy się bananami, a nie zdolawszy zaspokoić głodu, próbowaliśmy przynajmniej zaspokoić ciekawość, gawędząc z otaczającymi, ile się komu udało natrafić na osobistość przemawiającą zrozumiałym dla niego językiem.

Z tych urywkowych rozmów dowiedzieliśmy się, że z kilku wysp stanowiących grupę Zielonego Przylądka, jedna tylko ma grunt urodzajny i bardzo żyzny i ta ziemia obiecana, z żyznego swego łona wydająca najpiękniejsze drzewa, owoce i kwiaty, żywi i przyozdabia wszystkie swoje siostrzyce. Jedna tylko z tych wysp, ta właśnie, na której zatrzymaliśmy się, zamieszkaną jest od dwudziestu lat przez Anglików. Dobrze zabudowana, stanowi ona dziś ognisko ogrzewające kilkakrotnie rodzin.

Wycieczka na ląd, pomijając owe zawody gastronomiczne, przyjemna, nie wyszła mi na dobre. Pomimo zimowej tutaj pory, słońce tak silnie przepaliło mi głowę, że przez kilka dni bardzo ciężko cierpiałam. Z wdzięcznością wspominam będę moich pocziwów Anglików. Ich to tylko znajomości zawdzięczam to, że teraz przeleżałam te kilka dni, w spokoju, z oknami otwartymi, cze-

go w innych kajutach mieć nie można, otoczona gorliwą pomocą i wszelkimi środkami lekarskimi, które odrazu przerwały silną gorączkę.

„*Tagus*“ d. 27 Czerwca. Wczoraj zawitaliśmy do Pernambuko, trzeciego z rzędu miasta Brazylii, mającego ogromną przystań, utworzoną przez niezmiernie silny prąd wód Oceanu; ale że ręka ludzka niczem się nie przyczyniła do dogodnienia tego naturalnego portu i ulagodzenia gwałtowności bijących bałwanów: przystęp więc do niego zawsze jest połączony z niebezpieczeństwem i statki muszą się zatrzymywać o milę angielską od stałego lądu. Żaden też z podróżnych, prócz tych, którzy tu właśnie mieli wylądować, z obawy przeprawy nie ryzykował wycieczki.

Dziwny jest tu sposób przenoszenia podróżnych z okrętu na lódzie mające ich dowieźć do lądu stałego. W zwykłych okolicznościach spuszcza się pomost, po którym łatwo dostać się do lądu. Ale tutaj morze jest zbyt gwałtowne: trzeba więc uciekać się do innych środków. Zwykle sadzają podróżnych do dużych koszy, w kształcie foteli obwiązanych sznurami, i tak do lądu ich spuszcza. Zabawnie się to przedstawia widzom, ale chroni od niebezpieczeństwa.

Zdarzył się z tego powodu wypadek, który zakończył się ogólnym śmiechem.

Od początku podróży jedna z dam, Brazylijska, zwracała na siebie uwagę wymuszonym strojem i śmiesznym malowaniem się. Mąż jej był ciężko chory, ale się nim wcale nie zajmowała i największą część dnia spędzała na strojach. Otóż tę, w dwójnasób ufarbowaną i w bogaty kostium ustrojoną, damę, chcąc zapewne po powrocie z Europy zaimponować swoim przyjaciołom niesłychaną świetnością cery i ubrania, przywiązano do owego kosza. Nieszczęście mieć chciało, że w chwili, gdy kosz już dotykał lądu, bałwan nagle odrzucił ją, a kosz, nim go zdołano wyciągnąć, zanurzył się w wodzie. W pierwszej chwili rozległ się ogólny krzyk przerażenia; ale wkrótce zamienił się w ogólny śmiech na widok owej piękności, troszczącej się o zmytą malaturę, zwilżone loki, przemokłe falbany i koronki, którym improwizowana kąpiel ostatni nawet pozor piękności odjęła.

Bahia, d. 2 Lipca. Przybyliśmy do Bahii d. 29 Czerwca o 5 zrana. Widok na port przy wjeździe był wspaniały, poza nami piętrzył się tysiącem bałwanów ogrom Oceanu, przed nami z jednej strony legion okrętów kołyszących się z chorągwi dumnie powiewającymi, a z drugiej, od okrętu do lądu stałego, snuło się, jak labędzie z rozpustnymi skrzydłami, tysiące łodzi o białych żaglach. Na kilka wiorst naokoło portu ciągnie się miasto wesołym pasem, u stóp i na wysokościach wzgórz, wśród kaktusów i drzew palmowych, z których jedne swe karki szerokie, jak skarłowaciałe olbrzymy niepyśne ku ziemi naginają, inne, jak trzciny smagłe, wiotkie, lekko ku niebu korony swe podnoszą.

Zdaleka ujrzałam łódź o chorągwi francuskiej, zdążającą ku nam; na łodzi powiewał z tuzin przynajmniej chustek wszelkich rozmiarów... Zwiastowało mi to przybycie mojej rodziny.

Po chwili opuściłam statek w wesołym otoczeniu, zarzucona pytaniami, zwierzeniami i tak całą pochłonięta przygodami lalek, piesków i kotków, że wcale nawet sprawy sobie zdać nie mogłam; którądy, jak i czem do domu się dostałam.

Mieszkamy w wyższej Bahii, tak zwanej Wiktorii, która się ciągnie przez kilka wiorst, po wzgórzach otaczających port. Jest to część miasta zdrowsza, z powodu swego wysokiego położenia, głównie zamieszkaną przez cudzoziemców i zamożniejsze rodziny miejscowe. Dolne miasto, nad samym portem leżące, mieści w sobie wszystkie biura, kantory, sklepy i składy, jednym słowem: jest siedliskiem handlu i przemysłu, gniazdem tego, dziś najbardziej rozpowszechnionego na kuli ziemskiej, ptaka, którego nazwa: *business*.

II. Pierwsze wrażenia w Brazylii.

Bahia, d. 10 Lipca. Po nacieszeniu się z rodziną i dostatecznym wypoczynkiem zaczęłam się roz-

glądać po domu, poznawać zwyczaje w nim zachowywane.

Zdziwiło mnie to, że tu, gdzie przecież przestrzeni nie brakuje, jedne i te same domy służą na mieszkanie i latem i zimą. Wyjazd na wieś — dla przyczyn o których później powiem — zupełnie jest tu niepodobnym. Ludność cała gromadzi się po miastach, i w nich zabezpieczać się musi od wielkich upałów, które tu w Grudniu, Styczniu i Lutym dochodzą do niesłychanej wysokości: Bahia leży bowiem pod 13° szerokości południowej. Dom każdy w dolnej części w wysokich suterrenach mieści kuchnię, spiżarnię, salę kąpielową i całe gospodarstwo domowe. Na parterze, od północy, znajduje się ogromny salon i podobna sala jadalna, wysokie, widne najczęściej od ośmiu do dwunastu okien liczące, miejsca całodziennego przebywania rodziny w lecie; od południa zaś ciągną się obszerne sypialnie i inne pokoje użytkowe. Górna część domu, tak urządzona, że dach tylko chroni od deszczu, ale powietrze nim wszędzie przechodzić może, stanowi szereg letnich pomieszczeń. Bez żadnych sklepień, podmurów, nawet sufitów, mając za nakrycie jedynie dachówki nieprzystające do siebie, mieszkania brazylijskie w lecie dają względny chłód i przynajmniej panujące w nich ciepło jest znacznie mniejszem, niżby musiało być w domach europejskich przy tym wielkim skwarze, przechodzącym 30° Réaumura.

Główne wejście do domu jest przez terras otaczający bawialnię. Przedpokoi i dzwonek nikt tu nie zna. Dom każdy stoi wśród ogrodu, a odwiedzający, minawszy sztachetę oddzielającą go od ulicy, klaszcze w dłonie, oznajmiając tem swoje przybycie i wprost już potem idzie do salonu.

Na paletoty, kalosze, parasole miejsca nie potrzeba: nikt ich tu nie używa. W czasie deszczu, który zwykle bywa kilkodniową ulewą, nikomu na myśl nie przyjdzie z domu się ruszyć: przedpokój więc byłby zbytek niepotrzebnym. Każdy z Europejczyków, przebywający tutaj, gdy raz minął równik, zupełnie o etykięcie zapomina. Powyższy terras prócz wejścia stanowi zarazem najmilszy salon letni, gdzie cała rodzina po zachodzie słońca przebywa, dzieci się bawią, kołysząc na hamakach, a starsi w gronie przyjaciół gawędzą do późnej nocy.

W głębi ogrodu jest domek mały, piętrowy, mieszczący na górze służbę, która się składa jedynie z Murzynów, a na dole, prócz ogólnej pralni, kąpiele dla nich, bez których obejść się nie umieją i na podobieństwo Turków ablucye odbywają. Ogrodu jeszcze nie miałam czasu zwiedzić dokładnie; w przyszłej korespondencji go opiszę.

Bahia, d. 20 Lipca. Dziś w towarzystwie szwagra mego, wielkiego miłośnika kwiatów, poświęcającą każdą chwilę wolnego czasu ich hodowli, zwiedzałam obszerny ogród otaczający dom. Zawiodły mnie oczekiwania. Wszystko tu wielkie, wspaniałe, niebotyczne; ale piękno to jest jakby panoramą, na którą się patrzy przez upiększony pryzmat kolorowego szkła: wszystko dalekie, wysokie, niedościgłe, wspaniałe, nie ma powabu i wdzięku delikatnych odcieni i półcieni naszych drzew i krzewów drobno-liściastych. Każda gałązka zasadzona w ziemię w trzy miesiące wyrośnie na drzewko ulubiałe. Braknie mi również drobnych naszych ulubionych kwiatów z których owe nieznane, pełne powabu, partery się układają. Te wcale tu nie są znane, bo węgry, za bujną, wszystko w górę pędzi. Rezeda, na przykład, odrazu w puszysty krzak wyrośnie, a kwiat, zamiast jak w umiarkowanych strefach, rozwijać się w gałązki pełne zapachu, rozrasta się na bezwonne kłęby porozrzucane po całym krzaku.

Ci, co chcą koniecznie zakładać ogrody na sposób europejski, próżno się na to silą, czas i pracę darmo tracąc, tną i przyszygają owe krzaki; ale te, zamiast w górę, wszcz się rozrastają i skarłowaciałe, pękate, dają widok niemiły dla oka.

Z kwiatów europejskich róża dobrze się tu udaje, gwoździak też łatwo się przyswaja, z wielką

troskliwością bywa hodowanym, a odmiany białej używają zamiast kwiatu pomarańczowego do słuchanych wieńców i bukietów. Gardenia, o pełnym kielichu, precudnej białości i zapachu, również zaszczyt ten podziela. Gardenia, właściwa strefom podzwrotnikowym, rosnąca już jako drzewo (u nas tylko w cieplarniach), jest jednym z najpowszechniejszych kwiatów tutejszej flory. Francuzi nazywają ją *Jasmin du Cap*.

Ponieważ nie piszę kursu botaniki brazylijskiej, nie wyliczając więc tego, co tu jest, a czego nie ma, powiem tylko, że wśród tej pysznej vegetacji palma odnosi pierwszeństwo. Lekka, wysmukła, powiewna, ma ona wszelkie zalety potrzebne do wzbudzenia podziwu. Również pięknym, a może powabniejszym, jest drzewo tak zwane „drzewem podróżnika”. Ma ono zupełnie formę wachlarza na bardzo wysokim pniu; liście na ćwierć łokcia szerokie i półtora długie wyrastają w półkole, jedne zachodząc na drugie, zupełnie jakby ogromnych rozmiarów wachlarz. Prócz pięknego oryginalnego kształtu, odznacza się drzewo podróżnika jeszcze tem, że liście, na kilka cali grube, napełnione są orzeźwiającym płynem i w miejscowościach zupełnie wody pozbawionych stanowią nieraz jedyny napój dla spragnionego podróżnika. Ztąd też i nazwa tego drzewa.

Z owoców ananasy, pomarańcze i banany są jedynie smaczne. Innych niezliczone gatunki są bardzo niedobre, tracą zawsze terpentyną lub jakby naftą, i ani równać się mogą z owocami stref umiarkowanych. Wielu jednak Europejczyków do nich przywyka i z apetytem je spożywa.

Największą do zwalczania trudnością dla miłośników ogrodnictwa są mrówki, które zrządzają niesłychane szkody; trzeba z niemi prowadzić ciągłą i nieustanną walkę, na którą Murzyn, do tego tylko przeznaczony, traci dzień i część nocy. Co wieczór odbywa on na tego wroga ogrodów polowanie przy świetle pochodni. W dzień chodzi po całym ogrodzie, śledząc mrowiska, robi sobie znaki, a w nocy idzie od miejsca do miejsca i zapomocą umyślnego przyrządu wsuwa głęboko pod ziemię siarkę zapaloną, ogromnym miechem ją rozżarza i wydobywającym się dymem zaczyna—europejski wzór pracy i oszczędności. Mrówki te, ogromnych rozmiarów, szkodliwe są niezmiernie w ogrodach; roznoszą zniszczenie, niewczą pracę ludzką. Drzewo, na które się rzuci, w ciągu kilku godzin zupełnie z liści objadają; przegryzają nawet korzenie. W mieszkaniach znowu są bardzo naprzykrzone, nieznośne—trudno się im opędzić. Łakome, szczególnie na cukier i łakocie, razem ze znanymi dobrze i nam tarakanami, dosięgającymi tutaj olbrzymich rozmiarów, stanowią prawdziwą plagę gospodarstw brazylijskich.

Bahia d. 20 Sierpnia. Bogaty i żyzny kraj brazylijski, szczerze uposażony dla dzieci swojej ziemi, jest prawdziwą macochą dla nas, Europejczyków. Krajowcy zniedołężniał, przyzwyczajeni przez sam klimat do wiekuistego próżnowania, pocytując sobie pracę za hańbę, nie zużywając ani sił fizycznych ani umysłowych, mało też i spożywają. Miejscowe owoce, jarzyny, kawa i tytuń najzupełniej im do istnienia wystarczają. Rasa ta też zupełnie skarłowaciała i z pierwotnego pochodzenia mało co zachowała; dziś prawie wszyscy są kreolami a to w pierwszym, w drugim, piątym a nawet i dziesiątym pokoleniu zawsze się odbija, bądź w cerze, bądź w rysach, w kędzierzawych włosach, a w ogóle w zwyrodnieniu.

Ludność zamieszkującą Brazylią składają cztery żywioły:

1) Indianie, pierwotni jej mieszkańcy, przez Portugalczyków podbici. Cechami ich charakterystycznymi: długie czarne płaskie jak druty włosy, miedziana cera i płaskie nosy. Rasa ta łagodna, niegdyś cywilizowana, wyparta ze swych siedzib i posiadłości, dziś wytępiona prawie, stanowi tylko małą część ludności.

2) Portugalczycy po zdobyciu kraju, jako zwycięzcy tu osiedli, uważani przez inne rasy za istoty wyższe, w rzeczy samej zupełnie skarłowacieli, tak umysłowo, jak i fizycznie.

3) Murzyni przez Portugalczyków z Afryki

sprowadzeni, doskonale aklimatyzowani, stanowią najżywniejszą część ludności, do wszystkich prac fizycznych używani.

4) Świeżo przybyli Europejczycy wszelkich narodowości, w celu wzbogacenia się, po największej części kupcy, przemysłowcy i przedsiębiorcy, stanowią klasę ludzi cywilizowanych, przez których wszelka praca, wymagająca, nie tylko inteligencji, ale samej nawet rutyny, się odrabia.

Dlatego czwartego żywiołu, do którego i ja mam szczęście i nieszczęście się zaliczać—warunki życia w Brazylii są bardzo niedogodne. Braknie im wszystkich wygód życia europejskiego, z którymi tak się zrosli, że stały się im onienialnie niezbędnymi. Zmuszeni walczyć, nie tylko z klimatem, z niewygodą, z uporem i ciemnotą, ale z brakiem codziennego zdrowego pokarmu—zwykle też, przesiedziawszy kilka lat, napełnwszy kieszenie, ale też nieraz ze zruinowanym zdrowiem, wracają do Europy.

Europejczyk, który chce zdrowie zachować, musi sobie żywność całą z Europy albo ze Stanów La Plata sprowadzać. I tak: mąka na chleb, masło, kartofle, jarzyny suszone, szynki, oliwa, wino, przychodzą z Francji i Hollandji. Mięso suszone wprawdzie tysiącami statków przybywa z La Plata, ale takie mięso jadają tylko Murzyni i miejscowi—dla Europejczyków jest to pokarm niemożliwy; świeże zaś mięso, znikąd nie sprowadzane jako stały przedmiot handlu, jest niesłychanie drogie i tak niedobre, iż prawie jeść go niepodobna.

Brak ten jest najprzykreszszym, bo przy szalonych upałach praca każda jest nużąca, siły się prędko zużywają i większa niż gdzieindziej istnieje potrzeba odświeżania ich. Przyczyną tego niedostatku bydlą jest poprostu próżniactwo brazylijskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg—Ob. Nr 30).

XII. Sainte-Beuve.

Jeden ze współczesnych Gautiera, który tak jak on był poetą i krytykiem, doznał wprost przeciwnego losu. Krytyka, jaką zwolna zdobył Sainte-Beuve, postawiła w cieniu jego poetyczne utwory. Jako poeta, odznaczał się on oryginalnym talentem, ale jako krytyk stanowi epokę, gdyż jest jednym z tych, którzy własnej metodzie nadają życie i ustalają odrębny rodzaj sztuki. Można o nim powiedzieć, że jako nowator, znaczył więcej jeszcze w swoim zakresie, aniżeli inni pisarze, ponieważ od W. Hugo datuje się nowoczesna liryka, ale przed Sainte-Beuve nie było nowoczesnej krytyki; bądźco bądź, przekształcił on taksamo krytykę, jak Balzac romans. W ostatnich latach swego życia zdobył niezaprzeczoną powagę, wszakże dopiero w 14 lat po jego śmierci zrozumiano jego znaczenie i poza granicami Francji.

To pewna, że Sainte-Beuve, ze względu na siłę sądzenia o rzeczach, stał wśród pokolenia z 1830 r. bezwarunkowo najwyżej, był bowiem duchem, który wielką liczbę innych duchów zrozumiał i jasno przedstawił. Jeżeli go zaś—twierdzi Brandes—nie stawiam wyżej od pierwszych w owej grupie, to przyczyną tego jest ograniczenie jego zdolności. Jakkolwiek bowiem daleko wzrok jego sięgał, brakło mu jednak poglądu na całość. Rzadko o historyka i myśliciela, któryby był mniej systematycznym od niego. Dawało mu to niezaprzeczenie świeżość, i dlatego tak, jak

w r. 1827 zwrócił na siebie uwagę Goethego jednym artykułem, taksamo stał jeszcze na czele uczonych i artystów w r. 1869. Ale ponieważ mu brakło daru ogólnego poglądu, przeto nie pozostał po sobie żadnego wielkiego dzieła, tembardziej, że nie mógł wyrobić sobie i wielkiego stylu. Lecz zato wzrok jego był zaostrożony w dostrzeganiu charakterystycznych szczegółów. Umiał Sainte-Beuve patrzeć na te szczegóły w stosunku do pełni życia, a ponieważ ich ruch umiał przetwarzać w swoim duchu i naśladować piórem, nadawał przeto spostrzeżeniom swoim cechę nieznaną przedtem prawdy. Nie zdołał tylko nigdy zapanować nad szczegółami, brakło mu bowiem zdolności rozwijania bliżej leżących przyczyn z wyższych, a tych znowu z jednej i jedynej. Jako krytyk, umiał tylko odmalować pojedyncze indywiduum, i to tylko patrząc na nie, raz z tej, drugi raz z innej strony—raz w tym, drugi raz w innym stosunku do otoczenia; nawet, co więcej, nie umiał dobrze skupić się w pojedynczym artykule. Najlepsze swe myśli umieszczał w zdaniach ubocznych, najgłębsze objaśnienia w uwagach *na dole*. Rozpraszał chleb swój na okruchy. Chował złoto swoje tak, jak chłopci, pod podłogę albo w pończochę. Sztuki wyrabiania posagów ze złota nie posiadał. Wyzwolenie się z wszelkiej systematyczności, co stanowiło jego wyższość, ustrzegło pisma jego od wszelkiej wyszukanej symetrii. Nic nie poświęcił wewnętrznej równowadze swej pracy, jeżeli mu przyszło co na myśl, jako potrzebne. Nie martwił się zagmatwaniem, brakiem zakończenia. Bez tych filozoficznych danych, które zmuszają pisarza przedstawiać rzeczy w porządku jako część jednej całości, pisma Sainte-Beuve'a nie pozwalają nigdy osiągnąć jasnych wrażeń. Rzeczy ważne i mniej ważne stoją u krytyka francuskiego często na jednym i tym samym planie.

Karol Augustyn Sainte-Beuve urodził się w r. 1804. Ojciec jego, bardzo ukształcony urzędnik, odumarł go, gdy syn miał zaledwie 2 miesiące. Zdaje się, że Sainte-Beuve po ojcu odziedziczył zdolność do krytycznych reflexji, po matce zaś, Angielce, zamiłowanie do angielskich liryków, szczególnie dla Wordswortha. W wieku chłopięcym był Sainte-Beuve melancholijnym, bojaźliwym. Pod wpływem matki rozwinęło się w nim religijne marzycielstwo. Było ono zrazu tylko przełotnem, ale odezwało się jeszcze później, odświeżyło. Otrząsnął się z tych wpływów szybko, skoro tylko, jako student, słuchać zaczął przedstawicieli sensualistycznej filozofii: Lamarecka, de Tracy, Daunou. Skoro dojrzał, podstawą jego stał się czysty empiryzm, i ten już w nim pozostał do końca.

Sainte-Beuve w szkole odznaczał się studjami historycznymi i filozoficznymi, ale pomimo pociągu do literatury, uczył się medycyny. Od r. 1823 do 1826 obok literackich zajęć, uprawiał gorliwie fizjologię i anatomię. Był ubogim, pracował ciężko fizycznie—brzydki, zastanawiał tylko wyrazem swych oczu. Obdarzony gorącym, niezbyt delikatnym temperamentem, poddawał się zarazem swej poetyczno-marzycielskiej wyobraźni, która go pchała ku romantyce i mistycyzmowi. W r. 1827 napisał w *Globe* dwa artykuły o Hugona *Odes et Ballades*, które mu ułatwiły wstęp do obozu romantycznego. Wnet stał się cechowym krytykiem romantyzmu. Chodziło najpierw o dowiedzenie łączności nowej szkoły ze starszą francuską kulturą. Wypełnił to zadanie w znakomitym swym młodzieńczym artykule p. t. *Tableau de la poésie française au XVI siècle*. Jest to parallela z książką Gautiera *Les Grotesques*, a przytem gruntowna, pełna głębokiej analizy. W r. 1829 wydał Sainte-Beuve swe poezye p. t. *Poezye Józefa Delorme*.

Są one manierowane, ale narobiły dużo wrzawy. Delorme, to potomek Obermanna, nieszczęśliwy przez własną niewiarę, idealny w dążeniach a nisko pełzający w nałogach swoich. Rozpacz jego nie jest patetyczną, ale jest prawdziwszą, niż obermanowska; formą naśladowując Ronsarda, skłania się Sainte-Beuve ku sonetowi. Głównie zajmują te poezye swym realizmem, który im nadawał w owych czasach oryginalność. Guizot nazywał Józefa Delorme: *Un Werther jacobin et cara-*

bin; bądźco bądź jednak powodzenie było wielkie. Dalszy zbiór poezji Sainte-Beuve'a, wraz z jego romansem: *Volupté* (1834) i dwoma pierwszymi tomami *Fort-Royal* zaznacza peryod trochę sentymentalny autora. *Les Consolations* są dalszym ciągiem uwielbienia, niemal hysterycznego, dla W. Hugo. Sainte-Beuve kochał się w pani Hugo, o czym jawnie i otwarcie czytać można w *Volupté* i *Le livre d'amour*. Wszystkie te książki powleczone są pokostem słabo-katolickim, wczem miała być autorowi natchnieniem p. Hugo. Tego katolickiego kierunku wyparł się później Sainte-Beuve dosyć czelnie: a przecież cała owa epoka była usiłowaniem odrodzenia poetycznego Wieków Średnich i dlatego związana z młodo-katolicką szkołą, która się zgrupowała naokoło Lamennais'go i O. Lacordaire'a i nawet założyła dziennik *L'Avenir*. Do tego pisma dawał artykuły i Sainte-Beuve. Ztąd wpływ na utwory Sainte-Beuve'a, tak dalece, że nawet opis życia klasztorowego w *Volupté* wyszedł spod pióra Ojca Lacordaire'a.

Volupté jest, pomimo przewlekłości, głęboką historią duszy. Są to wyznania na wzór Rousseau'a ale styl ich bogatszy w obrazowaniu. Romans przedstawia życie młodości, u którego zarówno zmysłowe jak i tkliwe popędy niszczą świeżość i siłę czynu. Czarnem tłem książki jest myśl o szkodliwości ponęty kobiecej. Bohater Amaury kocha się w trzech kobietach. Ambitny, żelaznej pracy, zużywa w ten sposób szybko siłę swego ducha; w ostatku ratuje się ucieczką na łono Kościoła Katolickiego, i z tego punktu dopiero patrzy wstecz na swą młodość opisując ją czytelnikowi... Pomimo wielu, z samej formy wypływających i niemiłych, ustępów, treść romansu zajmuje rozwojem choroby duszy a zarazem znajomością kobiety jako typu.

Sainte-Beuve zakończył poetyczną swą karierę zbiorem: *Les pensées d'Août*. Jakkolwiek nie miał on powodzenia, jest jednak najoryginalniejszym. Żaden z romantycznych poematów nie przesiąkł tak silnie realizmem. I tu znać wpływ poetów angielskiej szkoły morskiej; trzeźwa rzeczywistość, ale i prawdziwie francuskie dramatyczne naprężenie. Prześliczny tu jest poemat p. t. *A madame la comtesse de T.* Od tego czasu, t. j. od r. 1837, staje się Sainte-Beuve wyłącznie krytykiem.

Czekało go daleko większe niż dotąd zadanie; atoli poezja nie opuszczała go i teraz, — o tyle przynajmniej, że się stała podziemnym źródłem ożywiającym krytyczne jego badania, nawet najślabsze. Ciekawą jest także droga, po której szedł, zanim zupełnie dojrzał. Kiedy po Rewolucji Lipcowej rozerwał się krąg biesiadników romantyzmu, Sainte Beuve pogodził się tak dalece z rządem, że o mało nie został nadspodziewanie mianowany sekretarzem ambasady. Później odwrócił się od L. Filipa dla Piotra Leroux, ojca Eufantin i Saint-Simona'a, którego pisma postawił wyżej nad Lessinga „Wychowanie rodu ludzkiego“. Pożegnawszy się potem z Saint-Simonistami, zbliżył się do Armanda Carrela, literackiej głowy republikańskiej Francji. Przez trzy lata pisał w *National* politykę i kwestye literackie. Teraz poznał się bliżej z republikanami, równocześnie wprowadził go Ampère do salonu pani Récamier, gdzie czczono Chateaubrianda. Gdy się poróżnił z Carrelem, zbliżył się zaraz do Lamennais'ego. W Lamennais'em podobał mu się zapal demokratyczny i jego idea podstawowa: uczynienia religii wałem ochronnym przeciw wylewowi demokratycznemu. Trzy lata od 1834—37 były najboleśniej w życiu Sainte-Beuve'a. Poróżniwszy się z panią Hugo, zerwał związki ze szkołą romantyczną. Porzucił Paryż

i pojechał do Lozanny, gdzie miał prelekcyę, stanowiącą streszczenie wielkiego jego dzieła: *Port-Royal*. W Lozannie poznał się z ks. Vinet, arcyreligijnym mężem a zarazem znakomitą krytykiem literatury francuskiej. Powróciwszy do Paryża, nienawrócony przez Vineta, rozpoczął zawód krytyka, ale krytyka nauczającego i objaśniającego, nie już walczącego, jak wprzód. Wielkiej zażywał gowagi jako recenzent *Revue des deux mondes*, a jako światowiec poszukiwany był w salonach arystokratycznych. Stosunek przyjacielski z panią d'Arbouville, siostrzenicą pierwszego ministra hr. Molé, uprzyjemnił mu wiele chwil. Przyjęty już w r. 1844 na członka Akademii Fran., protegowany był stale przez wszystkie salony. Nowe wszakże stosunki taksamo go nadługo przykuć nie zdołały, jak i dawniejsze. Rewolucya r. 1848 porozbiła koła towarzyskie, a gdy republikanie niesprawiedliwie posądzili Sainte-Beuve'a o podłość^{*)}, uczuł się on znowu samotniejszym, niż kiedykolwiek... Po raz drugi opuścił Francję na czas dłuższy. Znowu miewał prelekcyę w Liège, stanowiącą treść dzieła p. t. *Chateaubriand et son groupe littéraire*. Zaświadczyły one o rozczerowaniu autora. Ze śmiercią pani d'Arbouville zerwał się ostatni węzeł łączący Sainte-Beuve'a z tamtem stronnictwem. Socjalistyczny i demokratyczny instynkt popchnął go znowu w ramiona Drugiego Cesarstwa. Zaczął zrazu pisać w *Constitutionnel*, potem czas długi w *Moniteur Officiel*, nareszcie, w ostatnim roku życia, w dzienniku opozycyjnym *Le Temps*. Zawsze się dał powodować wpływom—„ażeby potem mieć tem jaśniejszy pogląd krytyczny“. Księżna Matylda i książę Napoleon żyli z nim poprzyjaćielsku.

Dopiero w ostatnim okresie życia doszedł talent Saint-Beuve'a do pełni swego rozwoju, bo tak zwykle bywa z umysłami krytycznymi, że w miarę lat dojrzewają. Prawdopodobność przy wielkiej pracowitości wzmogła się jeszcze. W napisanych doówcza już 50 tomach nie było ani śladu niedbalstwa; teraz jednak dopiero nabrał prawdziwej odwagi w wypowiedaniu swych religijnych i filozoficznych poglądów. Stał się teraz w literaturze obrońcą dorastającego pokolenia, a nie trzeba zapominać, że odmówił napisania artykułu o *Vie de César* Napoleona III-go i że w senacie wystąpił ze stanowczą opozycją; w r. 1867 za Renanem, a w 1868, nadzwyczaj energicznie, za wolnością prasy. Odtąd imię jego stało się sztandarem swobody myśli. Zanim po długich cierpieniach zakończył życie, zerwał przedtem zupełnie z Cesarstwem. Widzimy z tego, że Sainte-Beuve przy swej wrażliwej naturze przeszedł wiele przewrotów i przemian politycznych, religijnych i literackich, czyli, że musiał przejść szkołę, ażeby stać się wodzem nowoczesnej krytyki. Lecz przy tem wszystkiemu przyznać mu potrzeba uczciwość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Stowarzyszenie międzynarodowe terytorium Kongo, powstałe z początkowania Króla Belgijskiego Leopolda II, ma nadzieję zyskać uznanie

^{*)} Jakoby się dał przekupić monarchii lipcowej... za sto franków. Te sto franków przeznaczone były na naprawę pieca w bibliotece, której Sainte-Beuve był konserwatorem.

wszystkich mocarstw europejskich za osobę moralną posiadającą prawa państwa. Książę Bismarck poruszył już myśl zebrania kongresu, na którymby Europa względem stosunków nad Kongo zbiorową wolę swoją wyraziła. Współzawodnictwo wszystkich narodów jest tam dziś powszechne. Francuzi dla terytoriów posiadanych na zachodnim, prawym, brzegu rzeki, pomiędzy jej pierwszym kolanem a Oceanem Atlantyckim, wyznaczili już półtora miliona franków i pod kierunkiem dzielnego Brazzy przygotowują warunki dla kolonizacyi i stosunków handlowych niezbędne. Na wschód i południe od terytorium francuskiego z biegiem rzeki ciągną się przestrzenie tem żyzniejsze i bogatsze im bardziej od Oceanu oddalone. Sławny Stanley, który zwiedził całe porzeczce Kongo i słusznie nadał imię swojej głównej stacyi i wodospadom (od nich rozpoczyna się żeglowność rzeki niczem już nietamowana) donosi do Europy, że, raz dostawszy się za wodospady, ma się już przed sobą otwarte wnętrza Afryki. Jest to kraj piękny, w niczem niepodobny do piaszczystych równin, jakie podróżnik spotyka w górnym biegu Nilu. Kraina Kongo jest tak ożywiona, że z wyjątkiem jednego Ugogo (od strony Zanzibaru) niema w Afryce ani jednego terytorium, równie gęsto zaludnionego. Osady, wielkie, ciągnące się nieraz kilka godzin drogi, składają się z domów dobrze zbudowanych, jakich we wschodniej Afryce nie znależć. Szerokie gościńce łączą jedne z drugimi. Mieszkańcy tych osad mają wysoko rozwiniętą zmysłowość kupiecką; wszędzie widać najrozmaitszego rodzaju targowiska, jarmarki. Stanley zapewne, że trzy pokolenia ludzkie nie wystarczą na zabranie do Europy tej kości słoniowej, jaka się tutaj znajduje. Świątynie, posągi bogów, naczynia domowe—wszystko jest ze słoniowej kości. Rzeką Kongo łatwo dostać się do okręgów obfitujących w złoto i miedź. Krajowcy posiadają wielką zręczność do metalowych odlewów.

Wnuk Cesarza Meksykańskiego Iturbide, rozstrzelanego przez Hiszpanów w Meksyku, d. 19 Lipca 1824 r. mieszka od wielu lat w Wenecyi jako człowiek prywatny, niewystępujący z żadnymi pretensjami, do jakichby tytuł jego dziada mógł go upoważniać. Kiedy Napoleon III chciał uszczęśliwić Meksyk cesarstwem, pominął dynastyę, która miała już pewną tradycyę, i do założenia nowej namówił, jak wiadomo, arcyksięcia Maxymiliana. Książę Iturbide, syn rozstrzelanego, nie miał wówczas pola do wystąpienia ze swą kandydaturą, choć dzienniki wiele o niej pisały. Wnuk wychowywał się kosztem cesarza Ferdynanda, po jego zaś śmierci kosztem Franciszka Józefa. Dwór austriacki zapewnił mu skromne utrzymanie, a małżeństwo ze szlachcianką węgierską postawiło go w możności życia bez troski. Od tłumu pretendentów, kołaczących się po Europie a bawiących się mniej więcej w szarlataneryę, jak niedawno zmarły „ostatni z Luzynianów“ cyprijskich lub słynny syn Ludwika XVII Naundorff—korzystnie odbija ten pretendent bez pretensyi, który nie chce ani ojczyzny swojej wicherzyć, ani siebie samego na śmieszność wystawiać, i będąc wnukiem cesarza, umie być zwykłym śmiertelnikiem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkuusz 8-my.

TREŚĆ. Piosnki Różowe.—Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kilka słów z przeszłości, zebrał Wielisław. — Przegląd teatralny, przez S. K.—Za Oceanem, przez Helenę Negroni.—Romantyzm we Francyi, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Drobnie listki.